Nr. 1. i 2. Lwów, styczeń, 1918. Rok XLI.



ŁOWCA

okładka inseratowa.

Kalendarzyk łowiecki na luty:

W lutym wolno polować na kozły (rogacze), cietrzewie i głuszce (koguty), dropie i pardwy, ptactwo błotne i wodne. Nie wolno sprzedawać jeleni, zajęcy, jarząbków, kuropatw, bażantów, przepiórek i dzikich gołębi.

Redakcja i Administracja „ŁOWCA" znajduje się przy ulicy Cichej nr. 1., I. p. Godziny urzędowe dla stron od 9—1. W niedzielę i święta biuro zamknięte.

Wszelkie wpłaty należy uskuteczniać w tem biurze za jego odpowiedniem pokwitowaniem, względnie za przekazem pieniężnym lub czekiem, zachowując recepis jako dowód zapłaty. Tam również należy przesyłać wszelkie korespondencje przeznaczone dla Redakcji i Administracji „Łowca". Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Nr. 1. i 2. Lwów, styczeń 1918. Rok XLI.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 5 koron.

Wkładka roczna członka 20 koron

ŁOWIEC

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

SEWERYN KROGULSKI.

Szkic dziejów łowiectwa w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Ordynacja Czarkowskich-Golejewskich.

Dając w „Szkicu" niniejszym zasłużone miejsce łowiectwu w dobrach ordynata Tadeusza Czarkowskiego-Golejewskiego na Podolu, miły spełnię obowiązek, wysuwając na pierwszy plan osobę samego ordynata, z którą Gal. Towarzystwo Łowieckie, jego historja i rozwój, nierozdzielnie są związane.

Starszym członkom naszym i „Łowca" czytelnikom nie trzeba tu przypominać zasług i prac tego dzielnego wiceprezesa G. T. Ł., który objąwszy w niem rządy w chwili najkrytyczniejszej, zdołał jeszcze zapobiec jego upadkowi, przywrócić mu moc dawną i zbudować drogę do dalszego rozwoju.

Młodszych powiadomić jednak trzeba, że działo się to w latach 1896—1899, kiedy to przerzedły znacznie szeregi starej gwardji śp. Włodzimierza hr. Dieduszyckiego, kiedy znicz szlachetnego ognia myśliw-

skiego dopalał się w sercach weteranów, a imał się dopiero nieśmiałem zarzewiem młodszych, nie mając jeszcze dość siły, aby objąć brać w św. Hubercie i skupić ją — jak dotąd bywało — około „Łowca“ w jedno ognisko!

Myśliwi kraju naszego rozproszeni i niezorganizowani, pozostawieni własnym siłom, niezawsze umieli bronić łowiectwo przed zgubnymi zakusami doktrynerów; wiele pięknych postanowień ustawy łowieckiej pozostawało na papierze, ponieważ o egzekutywę prawa i jego poszanowanie nie było się komu upomnieć.

Smutny ten stan rzeczy dolegał najbardziej w rozleglejszych powiatach Galicji. W majątkach oddalonych od siedzib władz powiatowych, — gospodarował w myśliwstwie jak kto chciał..., zdając sobie sprytnie sprawę z faktu, że zanim wiadomość o jakiemś nadużyciu dojdzie do właściwego miejsca, — już o niem najgłośniejsze ucichnie echo!

Rozumiejąc to niepożądane zjawisko z praktyki starościńskiej i poselskiej — wiceprezes Czarkowski-Golejewski znalazł skuteczny przeciwśrodek: za jego to projektem, szczegółowo opracowanym i obmyślanym, przystąpiono do organizowania myśliwskich delegatur powiatowych. Ile było przy tem trudu, ile się spisało papieru w formie listów do najrozmaitszych myśliwych, upatrzonych na zaszczytny, ale i wcale nie różami słany posterunek delegacki, „niktby Muzie nie uwierzył“!

A gdzie pisane nie pomogło słowo, — tam pośpieszał czcigodny Wiceprezes z żywem, — wymownem i porywającem, a nie szczędząc ani siebie samego, ani czasu, niestrudzony w agitacji zbożnego dzieła, niezrażony przeciwnościami rozlicznemi, wziął z życia nagrodę wyjątkowo tylko dzielnym jednostkom przez los wypłacaną: mógł po latach oglądać pożądane swej pracy ofiarnej skutki!

Mianowany członkiem honorowym, mógł też z całym spokojem i poczuciem odpowiedzialności za każde słowo przyjąć ten największy — jakiem Towarzystwo rozporządza — zaszczyt, nadawany wedle brzmienia Statutu „za zasługi położone dla Gal. Tow. Łow.“

Takim był Ordynat w pracy przedsięwziętej ofiarnie na niwie łowiectwa naszego kraju.

Zobaczmyż jakim jest myśliwym u siebie w domu.

Właściwy teren łowiecki ordynacji składa się z dwóch rewirów kniejowych: Piszczatyńce i Wołkowce, kilku ścianek po jarach i pól, częścią wokoło rewirów, częścią w dużych kompleksach zupełnie jarami oddzielonych od wielkich lasów.

Obie posiadłości leżą na Podolu, w tym kraju chlebodajnym, co słońce pełne za herb przyjął, nad który wedle zapewnienia poety „niema innego kraju na świecie“! Ze stanowiska myśliwskiego rzecz biorąc może niejeden westchnąłby cicho nad uwagą Pola, że „mało wprawdzie trochę lasa“ ale — i słońce, choćby nad Podolem świecące — ma plamy. Zresztą ordynacja stanowi pod tym względem nieliczny wprawdzie, lecz pożądany wyjątek, posiada bowiem lasy, o drzewostanie grabowym, z domieszką dębiny.

Na ściankach rośnie licznie tarnina, dziki bez i

St. ZABOROWSKI.

Na niedźwiedzia.

(Ciąg dalszy).

Jedziemy. Gęsiego zachodzą przed ganek nizkie, jednokonne saneczki na jedną osobę. Konie w nich pod hołoblą małe, krępe, kudłate, jak bestje. Maści koni nie widać, bo pokryte są szronem i wyglądają, jak siwe. Szron na koniach, szron na grzywach, na uprzęży, na saniach; koniom u pysków wiszą sople lodu. Sankami powożą postacie w grubych tułubach, w czapach nasuniętych na oczy, brodate i taksamo pokryte siwym szronem, jak konie. Wszystko, na co okiem rzucić, białe, iskrzące się w słońcu i mimo trzaskający mróz — wesołe. Kolejno sanki zajeżdżają przed ganek, wchodowe drzwi uchylają się na chwilę i w obłoku pary ukazuje się postać zawinięta w futro lub w dachę, schodzi po schodkach i pośpiesznie gramoli się do sanek. Woźnica przysiada bokiem i, krzyknąwszy na konia, rusza. Kiedy moje sanki przechodziły przed domem, przez czystą niezamarzniętą szybę zobaczyłem twarz pani domu, jak, śmiejąc się, żegnała mnie ręką, i buzię starszego malca, ślącego mi pocałunki. Poczytałem to za dobrą wróżbę. Tuż za opłotkami zaczął się las, który po chwili stał się głuchym i dzikim ostępem.

Krętą, wązką drużyną leśną pięcioro sanek sunie cicho i pośpiesznie, jak wąż.

Nad końmi kłębi się z nozdrzy para i siada szronem. Czuję go igłami na twarzy i w oddechu. Dzwonki z pod hołobli odjęto, konie nie prychają, nawet łozy nie skrzypią w kopnym śniegu. Tylko woźnica zaklnie z cicha na konia, coś zamruczy pod nosem i szereg sanek, jak orszak ducha zimy, mglisty i biały od szronu, mknie przed siebie cichy i tajemniczy, niknąc na zakrętach, jak widziadło. Miejscami las rzednie, pokazuje się szmat jasnego martwego nieba, bez obłoku, bez chmurki. W ostrem, czystem powietrzu kontury zaśnieżonych drzew odcinają się na tle nieba tak jasno i tak wyraziście, że oczy bolą.

Gdzie zajrzało słońce, tam iskrzą się na śniegu miryady brylantów. Zima na nasze przyjęcie wystąpiła wspaniale i bogatą przywdziała szatę. W oczach się mieni, tyle dokoła przepychu i światła. Ten biały krajobraz, przesuwający się nam przed oczyma, ta lśniąca białość, ta szybkość i ten martwy spokój, który tu

inne krzewiny, małocenne na wyrąb, lecz wartościowe jako pielesze drobniejszej zwierzyny — głównie lisów i zajęcy.

Pamiętnik myśliwski, założony przez ordynata w roku 1886 pod tytułem „Dziennik łowiecki, począwszy od grudnia 1886 r. dla dóbr ordynackich“ zawiera jako pierwszą notatkę takie oto słowa:

„W dniach od 4-go do 13-go grudnia 1884 zabiliśmy w Piszczatyńcach i Wołkowcach 2 dziki, 3 lisy, 23 kozły, 201 zajęcy“.

Czy więc można być niezadowolonym z Podola?!

Po tym zapisku z przed lat dwóch, dowiadujemy się, że na pierwszem polowaniu, odbytem w roku założenia „Dziennika“, w dniach od 15—18 grudnia brali udział w polowaniu: Marceli hr. Tyszkiewicz, Władysław Bzowski — ówczesny prezes Lisowic, — Leopold hr. Starzeński, Eugenjusz, Krzysztof i Wiktor Abrahamowicze, Jan Borkowski, Konstanty i Antoni Czarkowscy, oraz Leon ks. Sapieha; sami więc myśliwi wytrawni, zwabieni urokiem polowań na Podolu niezwykłych, które w ośm lat później scharakteryzował Leopold hr. Starzeński krótkim, a wymownym wierszem:

„Któżby uwierzył, że kiedyś na ziemi stepowej
Ktoś potrafi wyprawić nam Nieświeskie łowy!
Nawet król polskich łowców, ów książę Radziwił,
Gdyby był między nami, toby się zadziwił,
Ale wrazby pewnie i pożółkł z zazdrości,
Że go ktoś tu prześcignąć zdołał w gościności“.

Na wspomnianem polowaniu grudniowem padło 12 lisów, 21 rogaczy i 221 zajęcy, ze szkodników zaś ubito w tymże roku nadto: lisów 5, psów 22, kotów 13, orłów 2, kani 4, puhaczy 4, jastrzębi 28, wron 54, srok 67.

Jako o niezwykłości wzmiankuje „Dziennik“ o 11 ubitych dubeltach, których obecnie ani śladu na tamtejszych łąkach. Co te ptaki błotne zagnało w stepy podolskie, krainę dropia — pozostanie ich tajemnicą! Drop padł jeden.

Dnia 15. września 1887 roku, na małem polowaniu ubił ordynat wspólnie ze swym szwagrem, Wacławem Zaleskim 21 kuropatw, 40 przepiórek, 4 zające, lisa i 3 jastrzębie. Kuropatw było tam za owych czasów niewiele, naloty zaś przepiórek odznaczały się ogromną obfitością.

W tę sielankę słonecznego Podola, malowaną piórkami przepiórek i dubeltów, a zrzadka tylko dropiem skrzydłem strojną — mieszają się jednak i poważniejsze tony.

Podczas zim ostrych, gdy śniegi nawalne od stepów Rosji idące zatrą wszelki ślad uprawy polnej, gdy zadymki i ostre wiatry wschodnie, hulające po podolskiej wyżynie, mrożą krew w żyłach człeka i zwierza, — po jarach i krzakach tarniny błyskają nocami wilcze kagańce.

„Dziennik“ mało o nich zawiera zapisków, rzadko bowiem kiedy przechytry rabuś spotykał się tu z kulą myśliwego. Pisał tylko o swoim pobycie groźnym tropem, a wieść o nim straszyła baby i dzieci przy wieczornem ognisku. A choć się zdarzało, że nadleśniczy Małuszyński śle depesze o pojawieniu się wilków przy

---

ogarnął wszystko, ma w sobie coś upajającego, coś ze snu i gdyby nie mróz, który szczypie twarz i kłuje w piersiach, miałbym wrażenie, że patrzę na przedstawienie jakiejś zaczarowanej bajki.

Myśl, że jadę *na niedźwiedzia*, że dziś jeszcze zobaczyć go mogę na swobodzie, dzikiego, we własnem królestwie, takim, jakiego wychowała puszcza pana tych borów, że budzić go mam ze snu i spotkać się z nim oko w oko, jest mi na razie prawie obojętną, tak to wrażenie jest dla mnie nowem, tak przytłumionem mnóstwem innych, odebranych w ciągu ostatnich paru dni. Słyszałem, co dziś rano jeszcze mówili osacznicy, wiem, po co tu przyjechałem, widzę przed sobą sanki gospodarza, który dużo już zabił niedźwiedzi, wiem, że dzisiejszy barłóg przeznaczony jest dla mnie i wszystko zrobione, abym ja doszedł do strzału, ale tego wszystkiego nie umiem powiązać w całość i odszukać w tem siebie, swojego ja. Wszystko, na co patrzę i co mnie czeka, jest mi takie obce, takie nowe, że nie umiem tego porównać z niczem, na co patrzyłem dotąd. Doznaję wrażania, że w sankach, zawinięty w dachę, siedzi ktoś inny, i jedzie ze sztucerem na niedźwiedzia, a ja patrzę na niego swemi codziennemi oczyma i obserwuję go. Wogóle jednak jest mi bardzo dobrze i świat przedstawia mi się, nawet w tej roli widza, niezmiernie dodatnio.

Ostępy tymczasem, które przejeżdżamy, stają się coraz głębsze, caraz więcej zapadłe, coraz więcej wykrotów i łomu leży przy drodze. Podszycie zwarte, splątane dzikim chmielem i na metr zasypane śniegiem. Czuć dzicz i puszczę dziewiczą, latem nieprzebytą, która śpi teraz nakryta białym puchem. Zawały, wykroty, młode sosenki i stare, omszałe jodły, gęstwa malin dzikich i chmielu, wszystko przykryte całunem śniegu. Zima i spokój głęboki panują wszechwładnie. Krajobraz ma w sobie coś skamieniałego, coś uroczystego i sennego, jak obrazy Boecklina.

Całe zaspy śniegu leżą na zwieszonych gałęziach świerków i jodeł, pod gałęziami prawie ciemno, a z pod każdego świerku, jak z jaskini, wygląda tajemnica Co kryje się w tych głębiach zasypanych śniegiem? Tropów mało, ale te, które spotykamy, przyśpieszają bicie serca. Ryś, łoś i niedźwiedź! Sami królowie kniei. A wciąż las, śnieg i las bez końca. .

Gdzie ostęp jest więcej zwarty, gdzie młodzież przeważa, tam nakrył wszystko jednolitym kożuchem śnieg i pojedyncze, mniejsze drzewka zatraciły swą odrębność. Drożyna wije się, jak wąwóz, między bia-

zastawionej padlinie, to jednak na zwierza tego, istnego włóczęgę, dorywcze polowania nie miały powodzenia.

Dopiero w r 1891 rabusie te opłacić musiały koszty inwazji własnemi skórami i to obficie, bo padło ich 11! W roku tym ubito też poza polowaniem głównem: 14 dzików, 1 żbika, 13 lisów, 2 kuny, 27 zajęcy, czarnego bociana, 8 słonek i 372 przepiórek! Z tych 11 wilków było 9 młodych. Jednego złapano żywcem i chowano w parku rezydencii, obłaskawiwszy zupełnie, — o ile ta zupełność bywa taką wogóle u wilka. Później podarował go ordynat arcyks. Leopoldowi Salwatorowi, który w r. 1891 bawił tam przez 4 dni, upamiętniwszy się podpisem w „Dzienniku", oraz ubiciem lisa, 4 kozłów, 18 zajęcy, 3 sów i jastrzębia.

Od roku 1894 wilków już niema.

Rezultaty dorocznych polowań utrzymują się dłuższy czas na tymsamym mniejwięcej poziomie, co świadczy o doskonałej harmonji w odstrzale i hodowli zwierzyny.

Polują w ordynacji prócz wymienionych na wstępie myśliwych: A. K. hr. Wodzicki, Bogusław Horodyński, Z. Pietruski, Jan hr. Tyszkiewicz, Władysław Potocki, Al. Krzeczunowicz, Juljusz hr. Tarnowski, Wł. Przybysławski, generał Weiss, J. K. Stojowski, Kaźmierz Rudnicki, Michał hr. Baworowski, generał Brudermann, Edmund Rylski i dr. Miziewicz, wielce zasłużony sekretarz Gal. Tow. Łow. i redaktor „Łowca".

Gościem stałym jest hr. Leopold Starzeński, odwdzięczający się za gościnę nietylko sobą samym, ale i perełkami swego talentu poetyckiego, zapisując w „Dzienniku" wiązaną mową ważniejsze zdarzenia.

I tak w roku 1898 upamiętnia nasz bard nadzwyczajne łowy tam na odyńca:

Wszyscy wiedzą: Wysuczka z gościnności słynie,
I to się nawet w leśnej odbija zwierzynie!
Jest tu w lesie odyniec piękny, co z pewnością
Wszystkie dziki prześcignąć umiał gościnnością.
Chcąc zabawić myśliwych, poprzed nimi leci
Wciąż wołając bez trwogi: „No bawcie się dzieci"!
Jak gdyby młyn ognisty, ośm rusznic grzmiało,
A dzik, jak salamandra, w ogniu uszedł cało.
I zdumieni myśliwi wnet poznali z tego,
Że musiał sobie kupić kędyś płaszcz Dowego,
Bo te kule, co przy nim ugrzęzły w śniegu,
Tylko go do szybszego nakłaniały biegu,
A śruty, co być miały zwiastunami zguby —
Na pamiątkę zachował w swojej skórze grubej.
Własnej krwi kilka kropel, jakby wodę z strzechy
Pozostawił stęsknionym strzelcom dla pociechy".

Poetyczne te opisy uzupełniały rysunki autora, w stylu, znanym nam z albumu poturzyckiego i dokładnie w „Szkicach" poprzednio omówione. Ostatni rysunek w „Dzienniku" i dwuwiersz, z powodu upadku z sań ordynata z pułkownikiem (późniejszym generałem) Weissem, pochodzi z roku 1902, w roku zaś następnym poluje tam nasz Nestor po raz ostatni.

Od roku 1900 rozpoczyna się jeszcze energiczniejsze niż dotychczas tępienie szkodników, przedewszy-

---

łymi wałami, które w fantastycznych kopcach piętrzą się po obu stronach drogi.

Chwilami, kiedy na zakrętach drogi poprzedzające nas sanki zniknął mi z oczu, doznaję wrażenia, że jedziemy wprost na białą górę, że w nią wpadniemy i utoniemy sami w białym puchu, który tu przykrywa wszystko. Już, już wjeżdżamy na jeden z kopców śniegu, zamykających drogę, już nas pochłonie, kiedy koń zwraca i znów widzę przed sobą sanki gospodarza, prowadzące szereg, jego barczyste plecy i szubę niedźwiedzią, zasypaną śniegiem.

Wszystko dokoła jest tak białe, tak jednostajnie białe i pozbawione cieni, że oko nienawykłe nie jest w stanie uchwycić odległości i perspektywy. Jesteśmy w królestwie zimy, mrozu i śniegów. Mijamy otwarte, jasne polany, na których śnieg iskrzy się w słońcu, mijamy zwarte ostępy starej świerczyny, w których porost jest tak gęsty, że u stóp drzew panuje półcień. Na konarach, zwieszonych nad drogą, śnieg pokładł się całemi stertami, przygiął je i sklepił nisko nad ziemią.

Niektóre omijamy, pod inne, kurcząc się i tuląc głowy w futra, wciskamy się, jak węże. Wyjeżdżamy z pod tych sklepień biali, zasypani płachtami śniegu, spadającego na sanki. Zima przybiera i nas w swą, szatę i chce opanować, jak opanowała tu wszystko. Mijamy wysokopienny stary bór, w którym, jak ciemne słupy, odbijają się na śniegu czerwonawe pnie masztowego drzewa i coraz cieńsze, cieńsze nikną w oddali. Przejechaliśmy szmat boru, w którym, jak żniwiarz łan zboża, burza położyła pokotem całe pokolenie starodrzewiu. Tam gdzie pień padł w poprzek drogi, wypiłowano z niego wał, żeby przejazd otworzyć. Potężne dzwono leży przy drodze i gnije; nikt się o nie nie zatroszczy, nikt nie pokusi. Olbrzymy leżą martwe i nietykalne, za kilka lat rozpadną się w próchno i posłużą za pokład, na którym, na miejscu pogromu, wzrośnie bujniej nowe pokolenie, dziś już nieśmiało podnoszące głowę.

Gdzie zawały spiętrzyły się, padając jedne na drugie, gdzie wykroty są głębsze, albo gdzie gąszcz malin i jeżyn jest więcej zwarty i więcej splątany chmielem, tam ostęp, latem nawet, musi być niedostępnym. Teraz, przykryty głębokim śniegiem, jest, jak przepaść, nie do przebycia. Kawał drogi sunęliśmy po lodzie strumienia, zamkniętego mrozem, przejechaliśmy małą łąkę i znów zanurzyliśmy się w gąszcze.

Na pasiece minęliśmy domostwo leśnika z opłotkami, zasypanymi śniegiem. U wrót stał w saneczkach

stkiem lisów. Giną one na wszelkie sposoby: w żelazach przy jamach, na trutkę z powłoką, brane jamnikami i chartami. Każdy rok znaczy się około półsetkiem lisiurek, to też stopniowo ilość niepożądanych, choć tak ponętnych w spotkaniu mykitów zmniejsza się; wreszcie doprowadzono do tego, że gniazdowe wytępiono zupełnie, a przybyszy padało niewiele.

Zawzięta ta wojna wydana im została, — jak łatwo się domyśleć—gwoli podniesienia miernego stanu kuropatw, oraz zakulturowania rewirów bażantami. Cel osiągnięto, bo oto już jesienią r. 1903 pada kuropatw około 200; tyleż przepiórek i innego ptactwa. W rok później pojawiają się na pokocie po raz pierwszy bażanty, hodowane na dziko. Tępiąc lisy i jastrzębie gołębiarze, żywi się bażanty pośladem i obsiewa się wszelkie poletka w rewirach zbożami, czem zapobiega się zbytniemu rozpraszaniu się tych ruchliwych kuraków po polach. Co roku wreszcie sprowadza się nieco kur, dla odświeżenia krwi.

Osiągnąwszy ten wysoki stopień kultury myśliwskiej, zarzuca się również strzelanie rogaczy w zimie, ograniczając ich odstrzał tylko na podjazdy letnie, w ślad zaczem podnosi się nietylko stan liczebny, ale i jakościowy.

Przed wojną można było na pokaźny odstrzał rogaczy walnych liczyć, ubijano jednak tylko kilkanaście rocznie, bo jeszcze oczekiwano kraśniejszych okazów i rożków. A przecież w r. 1914 na jednym podjeździe ubił jeden z gości ordynata 5 walnych!

Jak dalece zwiększał się stan zwierzyny niech zaświadczy pokot polowania zimowego z r. 1910: zajęcy 628, 47 bażantów, 9 rogaczy, 4 dziki. Niewątpliwie nie było to maksimum możliwości; przy tak wytężonej i celowej gospodarce łowieckiej, jaką w ordynacji prowadzono, możnaby z czasem bodaj czy nie podwoić te liczby pokaźne. Dzików stałych było około 60 sztuk. W r. 1911 była ich taka obfitość, że w jednym miocie naliczono ich 50, do których strzelało ośmiu myśliwych, a jeden z nich aż w trzech spotkaniach. Odstrzał rogaczy prelimowano rocznie na 30, stan bażantów wróżył pokoty bajeczne! Obok czeskich i mongolskich były już i królewskie, zające zaś rozmnażały się coraz liczniej.

Niestety wybuchła wojna, a fala jej ogromna uderzyła największym rozmachem o Podole! To też smutne zakończenie niniejszego „Szkicu" stanowi korespondencja z Wysuczki, pomieszczona w 23. i 24. nrze „Łowca" z roku ubiegłego.

Jak z niej wynika, stan zwierzyny w tych rewirach byłby zaiste pożałowania godny i najpoważniejsze budziłby obawy, gdyby nie okoliczność, że tesame ręce, które ongiś uratować potrafiły tonącą barkę Towarzystwa naszego, a potem zbudowały wzorową gospodarkę łowiecką u siebie, — także i teraz, wytrwawszy mężnie na posterunku aż do końca inwazji, dzierżą ster rządów w dobrach ordynackich. Zdołają więc niewątpliwie wywieść je z odmętów wojennej powodzi, czego imieniem Towarzystwa i własnem, jako druh wierny zacnego Ordynata ongi w Wydziale Tow., serdecznie życzę!

---

oszroniały koń i patrzył sennemi oczyma, jak pomknęliśmy biali i pośpieszni, jak duchy. A dokoła nas wciąż tesame białości, tasama jasność i tensam martwy spokój.

Zima — w swej apoteozie, w całej grozie i piękności; chłodna, twarda i niepokalana.

Jeszcze las, potem zakręt; zaświeciła przed nami otwarta, jasna polana i kawał czystego nieba, niezakrytego drzewami. Sanki zatrzymały się tak nagle, że aż hołobla poszła do góry. Stanęliśmy na miejscu.

Ach, Fałacie, Fałacie, dlaczego nie było między nami ciebie i twej palety!

Tto do obrazu, to — biała ściana starych świerków, rysująca się zębato ośnieżonymi wierzchołkami na tle jasnego, czystego nieba. Pod ścianą boru palą się dwa ogromne stosy, a dokoła nich, w zwartym pierścieniu, tłoczy się i grzeje ciemna kupa obławy, może setka ludzi. Tuż kilkanaście małych saneczek, przy których wyprzężone i nakryte konie jedzą z sanek siano, a obok, w jarze waląca się chałupa, młyn i resztki opłotków. Podobno na młynie mielono kiedyś zboże, ale przed laty, po roztopach woda poszła innem korytem i młyn został na suszy, a młynarz na koszu.

Zabrali ludzie z młyna kamienie, szkło i żelastwo, a drzewo zostawiono, bo nie warto go było sprowadzać z puszczy. Wali się dzisiaj; z ciemnych niezabitych okien wygląda pustka, śniegu nawiało do środka, ale stoi jeszcze i teraz pod śniegiem, wysrebrzone szronem wygląda malowniczo i zdobi obraz. Była i stodoła, ale nasi ludzie rozebrali ją dziś na ogień i grzeją się przy jej szczątkach. Płomienia ognisk nie widać w jasnem słońcu, tylko dym idzie świecą w górę i rozpływa się nad lasem.

C. d. n.



I znowu w korytarzach zamku gościnnej Wysuczki, o 7-mej rano rozbrzmiewać będzie róg pobudką myśliwską: „na łów, na łów, na łowy do zielonej dąbrowy"!

* * *

C. d. n.



Z Karpat.

Ciężki sierpniowy upał zawisł nad Hryniawską drogą, w górę Probiny.

O ile tylko wznoszenie się pozwalało, pędziłem na rowerze, obładowany plecakiem i bronią.

Dobiegała druga z południa, gdy zostawiwszy koła w leśnictwie na Szykmanach, puściłem się dalej pieszo, lasami.

Gnał mię pośpiech, a duszność powietrza, jaka w górach tylko przed ciężką burzą ludzi napada, cisnęła za gardło.

Śpieszyć się jednak trzeba było; do siodła połoniny „Kopiłasz", (+1600 m n. p. m.) koło „Baby ludowej", było najmniej trzy godziny wyciągniętego chodu, a tam znaleść owo stado wołów, w którem olbrzymi niedźwiedź tej nocy wojował i przed zmierzchem urządzić nań zasiadkę, mogło też zużyć kosztownych godzin jednę, albo i więcej.

Sprawa się tak miała. Chcąc opanować rozwielmożnione od lat w rozległych górach Hryniawy kłusownictwo, odebrałem hucułom przy pomocy wyjątkowo dzielnego kierownika żandarmerji, oraz własnej skarbowej straży lasowej i łowieckiej, w ciągu jednego roku kilkadziesiąt sztuk broni palnej, nadużywanej po połoninach i w otaczających ją lasach państwowych pod pretekstem ochrony bydła od wilków i niedźwiedzi.

Nie ulegało kwestji, że hucuł mając przy sobie choćby stary drutowany pistolet, czuł się bezpieczniejszym na połoninie i nieraz hukiem z tych pośmetrowych, prawie armatek, nie mówiąc już o olbrzymich, z kądś wschodniego pochodzenia, rusznicach, odstraszał drapieżników od swego stada; byłem więc nawzajem zobowiązany iść im z pomocą i ochroną w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa.

Kilka dni przedtem żalił mi się jeden z zamożnych hucułów-przedsiębiorców, że mu niedźwiedź ubił najpiękniejszego wołu na połoninie i dalej krąży lasami koło stada. Natychmiast odniosłem się do dzierżawcy polowania, chcąc mu dać uroczą, jakkolwiek na letniego niedźwiedzia, okazję.

Upłynęło z tydzień bez wieści, aż nagle zjawił się rano w zarządzie ów gazda i już z ropaczą doniósł, że niedźwiedzisko, jakichś wprost niebywałych rozmiarów, tejże nocy rozwalił zagrodę na Kopiłaszu, jednego wołu zabił na miejscu wśród oszalałego stada, a drugiego uprowadził i rano znaleziono go na pół zeżartego pod samym lasem.

Niedźwiedź, w przeciwieństwie do wilków, z reguły nie morduje więcej, jak mu do zaspokojenia głodu danej chwili potrzeba. Tu zatem zjawił się jakiś wyjątkowy kuba-rozpruwacz i tem bardziej nie można było wyprawy nań odkładać.

Wysłałem więc natychmiaat dozorcę łowieckiego, aby na połoninie pozbierał mi od pastuchów potrzebne informacje, a przedewszystkiem nie puścił ich do ubitej pod lasem sztuki, sam zaś dopiero z południa mogłem pociągnąć w górę.

Niedźwiedź, jeden drugiemu nie równy; miałem nie jedną przeprawę z nimi, ale od małego chłopaka, we śnie i na jawie, ścigała mię pasja do łowów właśnie na jakieś największe potwory siły i krwiożerczości. Toteż nie zmogło mego pośpiechu ustawiczne spinanie się leśną ścieżyną, ani upał, dojmujący mimo wielkiego treningu.

W myśli rachowałem szanse; rzecz w tem, by niedźwiedź wrócił się do poszarpanego drugiego wołu, co właściwie przy jego zwyczajach było prawie pe-

wne — byle również na mięso łakome, a przytem ciekawe pastuchy sprawy nie zepsuły; kwestja sposobu zasiadki i szansy strzału dopiero na miejscu dawała się rozstrzygnąć.

Uzbrojony byłem 8 mm manlicherowskim repetierem, ostrzelanym po szynle, z explodującą kulą.

Już długie cienie szły od szczytów, zachodząc na połoninę, już dopiero co minione lasy zlewały się w czerń pluszową z sinawym odcieniem mgły przedwieczornej, gdy stanąłem na Kopiłaszu.

Parno było nie do wytrzymania; olbrzymia chmura od południowego-wschodu, objęła horyzont, a ustępujące za Czarnohorę słońce daremnie ciskało w nią swe promienie; pod tym złotym zalewem tylko szarość jej nabrała ponurej głębi i aż w czarny granat przechodząc, raz wraz pękała w swej grozie piorunowym zygzakiem. Jak zły brytan, gdy mu w oczy zaświecić, skuli się i czeka, lecz ukryta wściekłość co chwila kłami zeń błyśnie.

Ruch był koło zagród ogromny; bydło z pośpiechem spędzano; do trwogi z nocy poprzedniej przybywała nawałnica. Łowczy zdołał na czas zapowiedzieć me przybycie; od drugiej ofiary pod lasem, lęk, nawet przez dzień, trzymał pastuchów z daleka. Po krótkiej relacji, już w największej ciszy sunęliśmy przez grzbiet w część połoniny, gdzie język leśny wrzynał się w nią wąwozem, czerniejąc.

Wytrawny miś morderca całą swą sztukę okazał; dopiero tu, na stoku, leżało poszarpane cielsko wołu; wzwyż więc kilometra, potrafił pędzić przed sobą tak potężną sztukę i by mu nikt powtórnie nie przeszkodził, tuż pod lasem urządził sobie szlachtuz, resztę żarcia zapewne na tę noc zostawiając.

Sytuacja dla zasiadki była niepomyślna; powiew ciągnął od nas ku lasowi, a najbliższe drzewa z wąwozu wystawały o jakie 60 kroków; tylko jeden, karłowaty, wichrami poszarpany świerczyna, stał bliżej i nieco z boku od wołu.

Chwili do namysłu nie było, ciemń szybko nas nakrywała, niedźwiedź już mógł być we zworze; tem bardziej żadnej improwizacji zasłony z gałęzi, lub przewleczenia resztek wołu na lepsze miejsce — możności już nie było. Ręką wskazałem dozorcy małą smerekę i pożegnałem go skinieniem; zniknął za grzbietem w kierunku zagród i koliby.

Przy blasku coraz silniejszych błyskawic, gubiąc nieunikniony szmer w grzmotach, ulokowałem się na owej marnej smereczynie. Słabe drzewko, parucalowej strzały, zaledwie z półtora metra nad ziemią mogło mię utrzymać. Mniejsza o niewygodę siedzenia na cienkich gałązkach, byłem jednak pod ciągłem wrażeniem obsuwania się, mimo objęcia pieńka okrakiem i lewem ramieniem. Prawą ręką, odłamawszy najkonieczniejsze dla widoku i ewentualnego strzału, gałązki, trzymałem odwiedziony sztuciec.

Łatwo zrozumieć, że nie była to pozycja do wytrzymania przez całą noc, zwłaszcza, że już olbrzymiej wielkości pierwsze krople deszczu zaczęły się na mój t. zw. nieprzemakalny loden przesączać. Tajemniczy zmrok ogarnął mię swym specjalnym nastrojem i w chwilach ciszy napinał nerwy, każąc spodziewać się wszystkiego od tego spotkania prawie na oślep, z krwawym karpackim potworem. To znów olśniewający blask i tuż po nim uderzenie potężnego grzmotu, który w swej głębokiej, cudownie modulowanej fali toczył się z góry na górę, milknąc gdzieś za Perkałabem znosiły momentalnie wrażliwość na wszystko co od ziemi groziło.

Nędzne moje drzewko począł wicher gwałtownie atakować; deszcz tymczasem z delikatnego szeptu przeszedł w szum, — aż z leśnego zworu wysunęły się kłębowiska gęstej jak wata, ostudzonej zlewą pary i wypełniły swym całunem moją kotlinę.

Burza górska, ta, której piękną potęgę zawsze podziwiałem, rozwinęła przedemną, tym razem bardzo nie w porę i z bliska, wszelkie arkana swej sztuki.

Mijały kwadranse jak godziny długie. Przemoczony do ostatniej nitki, byłem bezsilny w tych warunkach, gdzie najostrzejszy wzrok zaledwie na kilka kroków mógł przebić otaczającą szarę ćmę — z każdą chwilą ciemniejszą.

Zgasła nawet nadzieja na świetlną pomoc błyskawic; niedługo elektryczność ustąpiła z pola, coraz dalszemi grzmotami znacząc swoje odejście.

Otoczyła mię monotonna ulewa i już prawie — noc. Miejsca gdzie zwłoki wołu leżały, dawno już nie mogłem odróżnić.

Była ta względna cisza deszczowa tak przygnębiająca swą beznadziejnością, że myśl przestała pracować, opanowana zapełną apatją.

Wtem prąd elektryczny, ale ten wewnętrzny, budzący z inercji jedną falą do najwyższego napięcia, przebiegł mą istotę.

W głębi zworu stuknął kamień, tknięty niewidzialną siłą. Ja jednak znałem nawskróś to charakterystyczne stuknięcie; — tak tylko niedźwiedź zawadza potężną łapą, gdy idzie na żer, w poczuciu bezpieczeństwa, swą siłą i pustkowiem!. . I znowu cisza. Nic po za tym jednym, tajemniczym odgłosem; — sekunda za sekundą zlewały się w coraz dłuższe chwile wytężenia słuchu i wzroku — nadaremnie.

Aż pod wrażeniem niewytłumaczonej akustycznej ułudy sztuciec z powrotem przycisnąłem do siebie i skamieniałem z całegoześrodkowania się w oczach.

Czy mi się w nich ćmiło, czy majak jaki — ogromna ciemna, jakby smuga, bez najmniejszego szmeru posuwała się przedemną, w niedającej się ocenić odległości kilku, czy kilkunastu kroków w tej bezlitosnej, mglistej oponie.

Złożyłem się do strzału, — nic, nie widziałem, podniosłem głowę — cień potężny ciągnął dalej; więc z nagłą decyzją stuliłem się w sobie i błyskawicznym

strzałem, więcej instynktem skierowanym, przedarłem ciszę i ciemnie. Odpowiedział mi z nich głęboki mruk strachu czy wściekłości. Jeszcze raz cień mi się ukazał, ale już w odwrotnym kierunku — znów strzał i groźny pomruk, poczem cisza zaległa.

Za chwilę musiałem odczuwaniem takich mechanicznych ruchów jak wykonywany przy repetowaniu broni, i przedewszystkiem poczuciem, że niedźwiedź jest trafiony, bo to głosem doskonale zaznaczył, budzić się do rzeczywistości; tak prędko i tak zjawiskowo działo się całe spotkanie.

Teraz jednak fatalnie niewygodne siedzenie, przemoczenie doszczętne, a przedewszytkiem pewność, że co się miało stać już się odbyło, uczyniły, że obsunąłem się na ziemię i po kilku gwałtownych ruchach by strzepnąć wodę i kości wyciągnąć, trzymając sztuciec w ręku, zacząłem rozważać co dalej robić.

Niedźwiedź otrzymał prawdopodobnie obie kule, bo czułem to, był bardzo blisko, a głosem postrzały zaznaczył; było jednak tak ciemno, że zarówno mógł leżeć o kilka kroków odemnie, jak zaciągnąć, się do leśnego parowu bez jakiejkolwiek możności stwierdzenia.

Starałęm się przebić wzrokiem wrogie mglisko, gdy zauważyłem, że jego czarna głębia zaczyna różowieć, jakby od łuny; odwróciłem się i oto na grzbiecie połoniny, wśród niesłychanie malowniczych efektów czerwonego światła i dymów smolnych głowni, po przez mgłę i ulewę, w swych kożuchach włosem do góry, jak pierwotne olbrzymy z jaskiń — ukazała się grupa hucułów, machając na wszystkie strony płonącemi żagwiami.

Był to łowczy z pastuchami, którzy usłyszawszy strzały nie wytrzymali dłużej w kolibie i przypędzili, by zobaczyć co się ze mną stało. Pośpieszyłem im naprzeciw, by niedopuścić do zatarcia śladów spotkania, poczem odłożywszy do rana nie dające się zaraz przeprowadzić tropienie, poszliśmy osuszyć się i ogrzać przy ognisku.

Rano, tylko uczyniło się dostateczne światło, ruszyłem z łowczym ku zasiadce.

Niestety deszcz lał przez całą noc; jego niszczące działanie zatarło mi doszczętnie nietylko tropy niedźwiedzia, ale moje własne, gdy opuszczałem zasiadkę; tembardziej, mimo najgorliwszych poszukiwań nie stwierdziliśmy najmniejszysh znaków postrzału.

Dopiero śledząc coraz głębiej w lesie, w rozmaitych kierunkach, stanąłem nagle w młodnikach gąszczu, wobec zawieszonych na dolnych smerekowych gałęziach włóknistych pasem świeżego tłuszczu, widocznie wyrzuconych na zewnątrz przestrzałem „na miękie“ i otartych przez uchodzącego niedźwiedzia.

Wobec użycia kuli silnie explodującej, postrzał był bezwarunkowo śmiertelny, lecz niestety poszukiwania nasze przez cały dzień robione, nic więcej nie przyniosły.

Nawet psy, które nie raz już ścierały sie z niedźwiedziem, sprowadzone z dalszych połonin, nie podjęły tropu i nic nie wskórały.

Dopiero w jakie dziesięć dni później, otrzymawszy wiadomość o przypadkowem, tylko dzięki zmysłowi powonienia znalezieniu padła, ponad dwa kilometry, w głębi leśnej, stwierdziłem na miejscu z niepomiernym dla siebie żalem, że niedźwiedź ten mógł śmiało konkurować z mym dotychczas największym, ubitym w Negrowej w Jasieniu*).

Niestety wobec upalnych dni, była to już tylko niedająca do siebie przystąpić olbrzymia masa ścierwa.

Spotkauie to powiększyło me doświadczenia o użyciu właściwej kuli, na podstawie których przeszedłem do zupełnie innej broni. W każdym razie, o ile nie zaprzeczyłbym nawet tak krańcowemu twierdzeniu, że niedźwiedzia i 6 m/m „shortem“ położyć można— jeżeli się mu n. b. tem ziarnkiem ołowiu przez oko mózg uszkodzi, o tyle wyrobiłem sobie przeświadczenie, że w tak trudnych warunkach strzału, na jakie się powinno być przygotowanym, polując na władcę zwierzyny karpackiej, niema za ciężkiej broni i za potężnej kuli.

Dr. W. B.

---

*) „Łowiec“ ex 1905, Nr. 8-y „Z Karpat“.



Nasza broń kulowa.

(C. d).

Nie zamierzając bynajmniej przechodzić całej historji rozwoju broni magazynowej, wspomnimy tu pobieżnie tylko o rozmaitych jej modelach i typach.

W kołach myśliwskich miała ona stale zapalonych wielbicieli jak niemniej gwałtownych przeciwników, a główny swój rozwój zawdzięcza militaryzmowi. I tak w latach 1884/86 powstaje w Niemczech „model 71/84“, w Francji karabin Lebel'a, oznaczany „86“. Walka o równowagę europejską zmusza wszystkie państwa do ulepszania karabinu i natychmiastowego wprowadzania wszelkich pojawiających się udoskonaleń konstrukcyjnych. Równocześnie z niemi odbywają się niezliczone próby w spawie ustalenia kalibru.

Doświadczenia Szwajcarów: Rubina i Heblera, dowiodły, że z mniejszym kalibrem wzrasta razancja, siła przebijania i dalekonośność, zarazem jednak, że przy małym kalibrze pocisk musi mierzyć przynajmniej $2^1/_2$ długości jego średnicy. W ślad za tem okazało się, że pocisk ołowiany stawia pewne, niemożliwe do przekroczenia granice chyżości, przy nadmiernej bowiem, zanieczyszcza lufę, zniekształca się i daje bardzo lichą celność, przy coraz większem ciśnieniu wewnątrz lufy i sile oddania (Rückstoss).

Wyjście z tego dylematu znalazł pruski major Bode, ojciec nowożytnego pocisku płaszczykowego. Doświadczenia, jakie w myśl jego teoretycznych wskazówek poczynił Lorenz w Karlsruhe, potwierdziły w całej rozciągłości teorję.

Okazało się przytem, że aby pociski małokalibrowe, dość przytem długie, zachować w ruchu wirowym i uniemożliwić ich koziołkowanie, trzeba koniecznie powiększyć skręt gwintów, uczynić go krótszym. Tu znowu wystąpiła w całej pełni zależność pomiędzy gwintem a długością pocisku i jego materjałem, a cały splot tych wzajemnych relacji rozwiązywał pocisk małokalibrowy, opancerzony płaszczem stalowym, oraz proch bezdymny, zezwalający na najekonomiczniejsze wyzyskanie ostrego gwintu, małego kalibru i opancerzonego pocisku.

Proch bezdymny wprowadzono po raz pierwszy do karabinu Mausera, „model 88“.

Kaliber 8 mm uznano już w 1886 jako najmniejszy dopuszczalny; pozostali też przy nim Francuzi i Austryjacy do dziś dnia, inne państwa zeszły nawet na 6·5mm.

Karabin „model 88“, znany powszechnie, że niema potrzeby go opisywać, utrzymał się stosunkowo bardzo długo; używali go z powodzeniem także i myśliwi, a dziś jeszcze nie wyszedł z obiegu. Należy on do typu broni z wystającym magazynem, napełnianym pięcioma nabojami tkwiącemi w ramce lub pasku, i to właśnie stanowi, z myśliwskiego stanowiska, główną jego wadę, nie wyklucza bowiem możliwości zacięcia się systemu przy repetowaniu.

W praktyce wojskowej możliwość ta jest znacznie mniejsza i w danym razie mniej przykra, niż na polowaniu. Nabój wojskowy, którego cele i zadania są zupełnie odmienne od myśliwskich, posiada z reguły pocisk w pełnym płaszczu z główką owalną lub ostrą. Pocisk taki, skutkiem tego, że się wcale nie deformuje w ciele zwierzyny, — nie nadaje się wcale do celów myśliwskich, dla których o wiele są lepsze pociski częścio-płaszczykowe, t. j. sięgające tylko do pewnej wysokości jądra ołowianego, nie okrywające go aż do wierzchołka. O długości płaszcza, czyli o stopniu obnażenia jądra ołowianego, rozstrzyga chyżość jaką pocisk otrzymuje, oraz opór na jaki ma natrafić w ciele zwierzyny. Zależnie od tych dwóch czynników dobiera myśliwy pociski w połowie, trzech-czwartych lub nawet w dziewięciu dziesiątych częściach opancerzone, w każdym jednak wypadku główka ołowiana bywa płasko ścięta. I ta właśnie okoliczność powoduje zacięcia się w repetowaniu. W modelu 88 mianowicie, naboje nie dostają się do lufy dokładnie wzdłuż jej osi, lecz podnoszą się z magazynu nieco ukośnie do góry, przyczem koniec tępego pocisku zaczepia albo o brzeg gniazda nabojowego, albo głębiej, w przejściu z otworu mieszczącego grubszą łuskę do otworu na pocisk, albo w zagłębieniu przypadającem na flaszkowe przejście łuski — i kaleczy się przytem, lub uniemożliwia zatrzaśnięcie zamka. Okoliczność ta może mieć dla myśliwego w spotkaniu z niebezpiecznym zwierzem fatalne następstwa, jakoż niejeden już z łowców na gruboskórce lub lwy, poniósł skutkiem wspomnianego niedomagania ciężkie kalectwo lub śmierć.

W wypadkach mniej poważnych, lecz również wymagających rychłego ponownego strzału — do czego właśnie ma repetier służyć, — jak n. p. w dobiciu ranionego zwierza, — zacięcie się podobne nastręcza również dużo przykrości i irytacji.

Nakoniec skaleczenie lub zdeformowanie końca pocisku skutkiem takiego zacięcia się, może być także bardzo niemiłe. Stacje bowiem doświadczalne wykazały wprawdzie, że nieznaczne skaleczenia tego rodzaju nie obniżają w sposób widoczny celności, lecz w tem rzecz, że owe skaleczenia mogą być bardzo znaczne; niekiedy powodują nawet zupełne rozłupanie się pocisku, a wtedy strzał bywa z reguły chybny.

Najlepiej więc czynią ci myśliwi, którzy nabijają broń magazynową jednym tylko nabojem, czem ją ze stanowiska szlachetnego łowiectwa podnoszą, lub też, którzy przynajmniej ostatni nabój, wyskakujący z magazynu z największem do góry wzniesieniem, wprowadzają ręką.

Późniejsze modele Mausera 98, nabija się w ten sposób, że naboje umocowane denkami na pasku metalowym wciska się w magazyn, w którym układają się zygzakowato, po dwa nad sobą. System ten wprowadzono najpierw w armji hiszpańskiej. Głównem jego ulepszeniem jest okoliczność, że strzał jest dopiero wtedy

możliwy, gdy zamek został jak najdokładniej zamknięty; również zamknięcie samo znacznie ulepszono. Naboje wprowadza się, jak w modelach dawniejszych na pasku metalowym, ujmującym 5 sztuk w jedną całość, możliwem jest jednak nabijanie także i luźne, przez wkładanie jednego naboju po drugim.

Zaletę tego najnowszego modelu stanowi również brak wystającego magazynu. Naboje układają się zygzakowato, jeden nad drugim i mieszczą się w samym obwodzie drzewa. Z pod spodu widać tylko płytkę metalową; można ją łatwo odjąć i wszelkie zanieczyszczenie wewnętrznych części usunąć. W modelach myśliwskich płytka ta odsuwa się na bok, celem łatwego wyładowania magazynu. Podkreślić tu też należy, że to jest jedynie właściwa droga opróżnienia magazynu, nie zaś, jak się często dzieje „wyrepetowanie“, nastręczające sposobność do wypadku, a co najmniej do uszkodzenia pocisków. Wreszcie posiada komora nabojowa otworki, któremi uchodzić mogą gazy przy spaleniu prochu powstające.

C. d. n.



ST. F. ROSSOWSKI.

Obrazy myśliwskie Dra. Henryka Mikolascha.

Twór malarski, nie wykraczający w niczem przeciw prawidłom proporcji, perspektywy i światłocienia, narysowany czy namalowany wprawną techniką, nazywamy ze stanowiska malarskiego dobrym, bez względu na to, czy namalowany przedmiot, rzecz lub osoba, są prawdziwe czy nie. Tego zdania jest większość przeważna malarzy; niektórzy z nich idą jeszcze dalej i uznają temat za rzecz zgoła podrzędną. Wedle dosadnego określania Witkiewicza „Kaśka skrobiąca rzepę i Zamoyski pod Byczyną“ — to równowartościowe tematy, a obraz „Kaśki“, wykonany poprawnie rysunkowo i malarsko, równie tęgą techniką, — nie ustąpi w niczem taksamo zrobionemu obrazowi „Zamoyskiego“. Tasama teorja pozwala nadto malarzowi widzieć wszystko na swój sposób i swoim sposobem rzecz widzianą namalować, podobnie jak nikt się temu nie sprzeciwia, że o jednem i temsamem zdarzeniu, opowie dwóch ludzi najzupełniej innym stylem, z inną giestykulacją i innym głosem.

Widz, godzący się z tą teorją, może mimo to niezrozumieć malarza, zwłaszcza wtedy, gdy do obrazu przystępuje z całkiem odmiennem przygotowaniem i z innemi wymaganiami, jak się to z reguły dzieje z obrazem „myśliwskim“ i widzem-myśliwym. Artysta uznaje w widzianym na tle krajobrazu zwierzu plamę barwną, określonego kształtu i wartości malarskiej, uwzględnia w niej przedewszystkiem „ton zreflektowany“, tj. kolor, jaki chwilowo posiada, skutkiem refleksów od nieba, drzew, śniegu, zieleni, słońca, itd.; myśliwy ogarnia momentalnym rzutem oka jego wartość łowną, wszystkie szczegóły tej wartości jako zdobyczy, a więc kolor i jakość włosa, skóry, rogów, kłów, oraz ocenia jego zachowanie się: czy może podchodzić, czy ma przystanąć itp.

Z tych różnic w sposobie patrzenia na zwierza w żywej przyrodzie wpływa okoliczność, że obraz danego zwierza może być całkiem inny w pamięci malarza, a inny w umyśle myśliwego. Malarz może celowo zacierać pewne cechy, znamienne np. dla jelenia, podporządkowując je wymaganiom kompozycji, kolorytu, stonowania obrazu i całemu szeregowi dalszych nakazów artystycznych, czyli lekceważyć „temat“. Myśliwy natomiast wyodrębnia zwierza z tych przypadkowych warunków i widzi go zawsze, jeśli nie w rzeczywistości, to w swej świadomości, takim, jakim jest; na gubienie szczegółów zgodzić się nie może, ponieważ mają dla niego znaczenie pierwszorzędne, żąda więc właśnie uszanowania „tematu“. Malarz zatem może namalować zwierza bardzo prawdziwie po malarsku, a całkiem nieprawdziwie ze stanowiska myśliwskiego.

Trudności te omijają zazwyczaj, ale niezawsze, z powodzeniem artyści, którzy są sami myśliwymi, żeby wspomnieć Fałata, Chełmońskiego, Ajdukiewicza, Liljeforsa, Szyszkina, Krönera i innych, niekiedy jednak zgoda pomiędzy malarzem i myśliwym bywa niepodobieństwem.

Ogólnikowe te rozważania są konieczne, aby sobie uprzytomnić z jakiemi trudnościami walczyć musi malarz scen myśliwskich, i w jak znacznym stopniu musi posiadać dar godzenia wymagań artystycznych z realizmem przyrodniczym!

Dalsza trudność polega na tem, że zwierz dziki,

nietknięty kulturą, niczem nie krępowany w swych ruchach i wyglądzie, a więc dla artysty najciekawszy, jest najgorszym, jaki sobie można pomyśleć, modelem. Wilka, rysia, żbika, niedźwiedzia, lisa czy wiewiórki nie można obserwować godzinami całemi w tej samej pozycji i tych samych warunkach, gdyż tylko bardzo nieliczne chwile wyjątkowe zatrzymują je dłużej w jednem miejscu; poza tem widzimy je najczęściej w gąszczu, mroku, w znacznem oddaleniu, na tle nieciekawem; — krótko mówiąc nie można ich studjować w znaczeniu szkolnem i niema czasu na sporządzanie sumiennych szkiców, mogących posłużyć do skomponowania obrazu. Pewną pomoc może w tej mierze stanowić aparat fotograficzny, nie tak jednak wydatną, jakby się zdawało niewtajemniczonym w trudności władania soczewką i kliszą. Dzieła Schillings'a i Dugmore'a rzucają sporo światła na tę sprawę i wykazują, ile ofiar wymaga fotografowanie zwierząt na wolności! W większości wypadków, bo pod wieczór, który rozpoczyna właściwe życie zwierząt, aparat zawodzi. Trzeba się uciekać do sztucznego oświetlenia, — nieprzydatnego malarzowi; przytem piętrzą się uciążliwości i cała masa przypadków, — niweczących niekiedy trudy całotygodniowych przygotowań. Wreszcie: udatne ze stanowiska fotografa zdjęcie, dokonane n. p. w jednej tysiącznej sekundy, może nam ukazać zwierza w chwili ruchu tak dziwacznego, tak pozornie nieprawdziwego i różnego od tego do czego przywykło oko, że przeniesienie wierne na obraz jest znowu niemożliwe!

Dopiero z temi zastrzeżeniami, z grubsza tylko tu naszkicowanemi, — można stanąć przed obrazami Dra Henryka Mikolascha, wystawionymi obecnie we Lwowie, w gmachu Izby Handlowej, aby, pamiętając o tem, czego one nie mówią, a co mają po za sobą — nizko się im pokłonić!

Dr. Mikolasch, którego nazwisko w dziedzinie fotografji artystycznej jest wprost hasłem w całym świecie, stosuje tę umiejętność do swych obrazów malowanych. Podobno lata całe poświęca na zebranie przy pomocy aparatu potrzebnego materjału do odtworzenia go w akwareli i do zrobienia „obrazka myśliwskiego", rozwiązującego zazwyczaj świetnie ten zawiły dylemat malarsko-fotograficzno-myśliwski, jaki tu scharakteryzować usiłowałem.

Mroczne knieje Karpat, dziewicze puszcze niesfałszowane żadną skazą cywilizacji, pola wolne od wszelkich „zmarszczek linji kolejowych", opłakiwanych przez Ruskina, mateczniki zaciszne i ostępy najgłuchsze były artyście źródłem, z którego czerpał do swych dzieł. Jego zwierz dziki jest naprawdę dziki w każdej swej krwi kropli i każdem ścięgnie, jest bezwzględnie prawdziwy i co najważniejsze, wolny od wszelkiej pozy! Ani śladu nigdzie silenia się na efekt, niema tego oklepanego i ckliwego „wieczyście monachijskiego" Vorder-, Mittel- i Hintergrund'u, znanego aż do przesytu z niemieckich czasopism myśliwskich. Zwierz Mikolascha jest zawsze w swojem prawdziwem otoczeniu, oddanem z całą wiernością nawet wtedy, gdy względy malarskie doradzałyby może trochę więcej dekoratywności. Ryś n. p., który w jednej z swoich nieprzeliczonych wędrówek przysiadł na chwilę pod drzewem i na pozór obojętny, tym wiecznie sennym spokojem kota, łowi pędzelkowatem uchem każde tchnienie puszczy, jest tak naturalny, że każdy, kto go nie widział, — tak go sobie wyobrazić musi!

Czy to będzie odyniec, niefrasobliwie roztrącający okiść i przewalający swe potężne cielsko kosmate poprzez ośnieżone kłody, czy orzeł zaczepiony na majestatycznych lotach pomiędzy chmurami, czy potulny zajączek pod świerkową gałęzią, — wszędzie mamy żywą opowieść z natury, powtórzoną dosłownie jaką była, bez upiększań i przesady.

Autor tych dzieł, jakby pomny długu wdzięczności wobec przyrody pozwalającej mu wglądnąć w swe najskrytsze tajemnice, trzyma na wodzy fantazję i, w imię ścisłości oraz prawdy, rezygnuje niekiedy z wymagań kompozycyjnych obrazu, albo też, zajęty może ważnością wiernego oddania tematu, — nie ma czasu na obmyślanie jego architektonicznej strony. Nasuwa się ta refleksja na widok orła i sępa; oba te ptaki mają cokolwiek za mało miejsca, a obrazy same nie mają pożądanego punktu ciężkości. Zasada oddania szaty zwierza w jej kolorze właściwym, przeprowadzona niezmiernie konsekwentnie, przytłumia nieco żywość kolorytu i każe artyście unikać oświetleń, warunkujących ton lokalny. Dzięki tej powściągliwości obrazy tracą może na ogólnym efekcie malarskim, lecz za to zyskują do tego stopnia na realiźmie, że mogłoby być ilustracjami dzieł przyrodniczych!

Tajemnicą talentu artysty pozostaje przedziwna umiejętność zatarcia w obrazie wszelkich trudności, jakie niewątpliwie i to nie raz jeden pokonać musiał, by zdobyć pożądane studjum. Wszystkie tak bardzo niesforne modele podpatrzone są w swym najcodzienniejszym wyglądzie i zachowują się tak wybitnie po swojemu, jakby chciały malarzowi ułatwić pracę. A przecież w rzeczywistości musiało się dziać grubo inaczej i niejedno staranie poszło na marne, zanim przebiegły mykita lub na wszelkie świata powaby nieczuły borsuk, umożliwił przedstawienie siebie w sposób tak wytworny i lekki, jaki można podziwiać w obrazkach.

Dla myśliwych naszych ma dorobek artystyczny Mikolascha tem większą wartość, że opiera się wyłącznie na motywach swojskich, a niemniej i w tem, że niejednokrotnie utrwala sceny, podążające zwolna, ale niestety statecznie, w przeszłość niepowrotną! Taki ryś czający się na korzeniach drzew prastarych, lub orzeł kołyszący się w obłokach — prędzej może niż się obawiamy, — pozostanie jedynie na obrazie..

Niedźwiedź, człapiący o zmroku po karpackiej połoninie i sęp, gość daleki z południa, — to wszystko jest jeszcze dziś, ale jutro może już być wspomnie-

niem. Niechże więc przynajmniej ich wizerunki, wierne i artystyczne, wypieszczone ręką i okiem gorącego miłośnika przyrody naszej, w poczesnem się znajdą przechowaniu!

Korespondencje.

Kobło st., p. St. Sambor.

W okolicy naszej stan zwierzyny na ogół dosyć pomyślny. Jest po trochę wszystkiego, a co najbardziej pocieszające, to liczny, jak na obecne stosunki, stan sarn. Ilość kóz nieproporcjonalnie przewyższa stan rogaczy — możnaby myśleć, że w okolicy, gdzie zresztą silna walka piechoty i artylerji trwała pełnych 25 dni i nocy, gospodarowali następnie jacyś prawdziwi myśliwi na przekór innym, którzy, jak np. w Kornalowicach, zniszczyli kompletnie świetny stan przedwojenny. Często odnawiana ponowa pozwalała podjeżdżać lisy, które wyjątkowo mają piękne skórki, płatne tutaj chętnie do 130 k. W lecie było kilkanaście jeleni, odeszły niestrzelane do Karpat. Ciąg słonek w jesieni bardzo słaby ledwie 5 ubić mi się udało. Przed świętami tropiłem w swoim lesie dużego rysia, który tu czasem w zimach zawalnych się pojawia — jednak nie zdołałem go obciąć — nocował wprawdzie w spróchniałej osice, jednak zaraz wyniósł się w powrotną drogę. Pokazały się także wilki; jeden miał napaść do dnia, kobiety idące w święto ruskie Ś. Anny do miasta, tak że jedna z przestrachu zachorowała, drugi zaś przyszedł do chłopa na podwórze, spłoszono go jednak. Ja, od roku 1892 w którym strzeliłem wilka, średniego psa, w rewirze Sozań, nie miałem szczęścia ponownego spotkania — obecnie jednak zadam sobie trudu wytropienia tych rabusi, bo chodzi mi o sarny. Już to najlepiejby tu poskutkowała strychnina, tak samo na lisy — ale nie można jej teraz dostać, a mozolić się jakąś pseudo-strychniną nie warto.

Tadeusz Sozański.

POLOWANIE W PODLISKACH.

I w dzisiejszych ciężkich czasach wojennych, wśród trosk i kłopotów życia codziennego, natrafi czasem tem wszystkiem zgnębiony myśliwy, na chwile różowe przypominające mu dawniejsze przedwojenne czasy w których zaopatrzenie się w naboje i wszelkie akcesorja polowania, jak n. p. liczna nagonka, nie przedstawiały żadnej trudności.

Czasy te przypominały mi się w całej pełni na polowaniu w kotły, w Podliskach, u p. Adama Papary, odbytem dnia 12. I. b. r.

I tak nagonka, przedstawiająca się w pokaźnej liczbie 130 ludzi, co w dzisiejszych stosunkach jest bardzo trudnem do osiągnięcia, siedmnastu dzielnych myśliwych — wszyscy zaopatrzeni w broń i naboje pierwszej klasy — wreszcie rzecz najważniejsza, iż kotły podlisieskie warte były tego całego zachodu i odwdzięczyły nasze i gospodarcze trudy sowicie! Polując po raz pierwszy na tym terenie, byłem mile zdziwiony dużą, jak na te czasy, ilością zajęcy.

Na rozkładzie mieliśmy do wieczora 62 zające i 2 lisy. Poszło z pewnością drugie tyle, jeżeli nie więcej. W tym wypadku nie tyle zawinili koledzy z pod znaku św. Huberta, ile nie dość wyszkolona nagonka, która nieraz robiła luki, dozwalające zwierzynie łatwo się wymykać.

Jeden z uczestników.

Paszutina, w sierpniu 1917.
(pow. i gubernia Jesisielska, Syberja).

Donoszę uprzejmie do kochanego „Łowca", że już od dwóch lat mieszkam tu na Syberji, w tajgach, nad rzeką Angarą, w centrum zwierzostanu sławnych *biełek* (wiewiórek), łosi, niedźwiedzi i t. p. Z ptactwa liczne tu głuszce, cietrzewie, jarząbki, łabędzie, gęsi— różne gatunki kaczek, kulony, przepiórki i chróściele. Niestety z polowania korzystać nie mogę. Siedzę tu, zapomniany przez towarzyszów z Galicji.

Adolf Korpak,
(delegat G. T. Ł. na powiat zbaraski.)

Gródek Jagielloński, 19. I. 1918.

Donoszą mi myśliwi z Wadowickiego, że tak złych warunków i stosunków dla myśliwstwa, jak obecnie, nie było tam jeszcze nigdy. Z powodu braku strażników lasowych, których powołano do wojska, rozwielmożniło się kłusownictwo, a co jeszcze gorsze—sidlarstwo, do niebywałych wprost rozmiarów. Z tego powodu w niektórych rewirach sarn już niema wcale, a zajęcy, których stan z powodu ostrej i długiej zimy, jakoteż spóźnionej wiosny 1917 roku, był bardzo marny—ginie setkami. Niema dnia, by nie znaleziono w kluczce zająca. Polowanie z nagonką jest to raczej wybieranie zajęcy z sideł — aniżeli strzelanie. Pan K. S. w St. postrzelił lisa, a idąc za farbą w miot, znalazł go już nieżywego, ale w drucie, na który się lis uchodząc złapał i udusił. — Nie lepszy stan kuropatw, których zresztą wszędzie w roku ubiegłym nie wiele było. Spotyka się przeważnie same stare koguty, stadka są rzadkością.

Tensam pan K. S. przechodząc w pierwszych

dniach stycznia b. r. obok niezamarzniętego źródełka leśnego, ujrzał porywającego się dubelta—gościa o tej porze i w okolicy górzystej—najmniej spodziewanego.

W powiecie Grodeckim stan zwierzyny bardzo słaby. Polują przeważnie synowie Marsa, lecz z rezultatem bardzo marnym, niepomni, że „z próżnego nie naleje“.

H. M.

Szkło 19. I. 1918.

Wczoraj, 18. stycznia, widziałem w środku wsi na łące, na której dopiero 16. i 17. śnieg stopniał, kilkanaście paszkotów. Śnieg prószył, a one nie dotrzymywały, więc nie jestem pewny, ale zdaje się, że były także kwiczoły. Paszkot nie jest rzadkością u nas w zimie, lecz zastanawia, jak on przeczuł, że na Jordan będzie +8° R. i, że nie będzie musiał zaraz wracać za Beskid.

Zając zabity 15. I. b. r. miał narządy płciowe mocno nabrzmiałe, jak podczas parkotni. Widocznie i on przeczuł odwilż.

Kazimierz Zbyszewski.

Lubaczów, 29. XII. 1917.

Dotychczas odbyło się u nas 7 polowań, a to:

1) w Hruszowie, z wynikiem: 2 kozły, 10 zajęcy.

2) w Nowem Siole, w pierwszym dniu padło: 1 lis, 20 zajęcy, w drugim dniu 4 zające;

3) w Bruśnie nowem: 2 dziki i 5 zajęcy;

4) w lasach Eksc. Gołuchowskiego, pierwszego dnia w Tryputniku: 1 dzik, 2 lisy i 11 zajęcy; drugiego dnia, na Ostrowem: 1 rogacz, 4 lisy i 20 zajęcy; trzeciego dnia w wigilię, w Antonikach: 2 lisy i 16 zajęcy.

Z tego wyniku polowań widać, iż stan zwierzyny w tutejszym powiecie jest słaby i nosi widoczne cechy przebytej inwazji, tudzież rabunkowych polowań nieuprawnionych strzelców.

Znamiennym jest fakt, iż prawie wszędzie są dziki. W Tryputniku było ruszonych w jednym dniu w 6 miotach 28, w Bruśnie nowem 8, w Nowem siole drugiego dnia 5 dzików.

Wskutek szczupłej ilości strzelb (8—10), uchodziły dziki przeważnie bez strzału, jest jednak nadzieja, iż w styczniu padnie ich więcej, zwłaszcza w rewirach Horynieckich ks. Ponińskiego i w Łówczy Pawła Jampolskiego.

Dr. Jerzy Rosinkiewicz.

Czarna 25. grudnia 1917.

W dniu 21. października 1917, dozorca polowania, obchodząc rano swój rejon i bażantarnię — zauważył, że bażanty są niespokojne, podlatują i na drzewach zasiadają. Śledząc baczniej przyczynę tego niepokoju, spostrzegł, że w gąszczu coś ciemnego się rusza, a sądząc, że to kot, strzelił i zabił. Jakże jednak wielkie było zdziwienie dozorcy, gdy podniósłszy ubitego domniemanego kota, spostrzegł, że to żbik i to rozmiarów kolosalnych; mierzył bowiem od nosa do końca ogona (miotły) 112 cm; w przodzie był na 41 cm wysoki, obwód ciała mierzył 49 cm, zaś wagi miał 6 i pół klgr. Żbik polował tu na bażanty, a śmierć spotkała go właśnie w chwili, gdy kurę bażancią złapał i biesiadował.

W dwa dni później tensam dozorca, w tejsamej bażantarni strzelił znów dzika.

Z uwagi, że remizy te leżą tuż pod wsią i są wcale nieduże, a zwierzyna tak rzadka trzymać się zwykła dużych lasów i głębokich kniej, uważać należy podobne zdarzenie jako nadzwyczajne i szczególne.

Zdaje się, że obecna straszna wojna już cały świat zdenerwowała, bo i zwierzyna opuszcza swe stałe miejsca i ostoje, wędruje i pojawia się tam, gdzie jej dawniej nikt nigdy nie widział i nie spotykał.

Włodzimierz Lewicki
łowczy



Datki.

Delegat G. T. Ł. p. M-r Stanisław Jaśkiewicz, Radziechów:

na cele Towarzystwa . . .	K 100·—
na ołtarz św. Huberta . . .	K 50·—

Kwitując z podziękowaniem obie kwoty oznajmiamy uprzejmie, że w myśl § 30. statutu G. T. Ł. datki na cele Towarzystwa są dopuszczalne, a w czasach tak ciężkich jak obecne, bardzo pożądane.

Sprawy Towarzystwa.

W poczet członków G. T. Ł. wpisali się w dalszym ciągu, za sprawą pp. Eminowicza, ks. Filipka, Jaśkiewicza, Klichowskiego, Pilca, Rożena, Stenzla i Zawiszy pp.:

Bockenheim de Bockenheimer Karol Derżów p. Bilcze-Wolica.
Dydyński Mieczysław, Dydnia.
Dyndowicz Stefan, Rohatyn.
Dyżewski Jan, Rogoźno, p. Ożomla.
Hoffmann Kazimierz, Chodorów.
Klichowski Jan, Rogoźno, p. Ożomla.
Kopczyński Leon Dr., Poddniestrzany, p Chodorów.
Kuczkiewicz Stanisław, Bóbrka
Potrzebski ks. Wiktor, Sokołówka, p. Bóbrka.
Rosenberg N., Dmytrów.
Sroczyński Stefan, Krasiczyn.
Stafiński Wincenty. Bóbrka.
Steilwag Karol, rotm., Lwów, Arméekom.

Z uwagi na wyczerpane w zupełności fundusze wzywamy usilnie Członków G. T. Ł. o jak najszybsze uiszczanie wkładek, zapomocą przesłanych w grudniowem numerze „Łowca" czeków P. K O.

Przy tej sposobności przypominamy sprawę ubezpieczania się od wypadków i odpowiedzialności prawnej w Towarzystwie „Kosmos" za opłatą niezwykle nizkiej premji w kwocie kor. 2) rocznie!

Czeki „Kosmosa" są również w posiadaniu wszystkich Członków.

Administracja „Łowca".

Od Redakcji.

WP. Dr. W. B Ilustracji do artykułu z „Karpat" nie umieściliśmy, ponieważ zakłady cynkograficzne, dla braku materjałów, nie przyjmują robót.

WP. Wł. Lewicki. Dalszą część skryptu z dnia 25. grudnia wydrukujemy w następnym numerze.

Kto „ŁOWCA“ nie kompletuje, a posiada:
nr. 7. i 15. z roku 1912,
„ 3. i 6. „ „ 1913,
„ 2. „ „ 1914, —
raczy je dostarczyć Administracji „Łowca“, ul. Cicha 1. I. p., za stosownem wynagrodzeniem.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor naczelny i odpowiedzialny Seweryn Krogulski.
Odbito w drukarni „POLONIA“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 16.